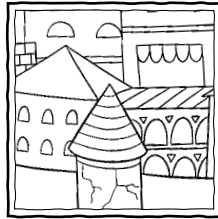


GEORGE MACDONALD

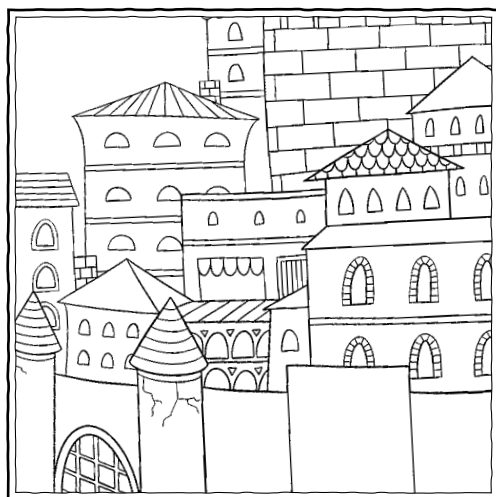
KRÓLEWNA
✦ I CURDIE ✦

GEORGE MACDONALD



KRÓLEWNA
I CURDIE

GEORGE MACDONALD



KRÓLEWNA I CURDIE

 Fundacja
Prodoteo

WARSZAWA 2025

TYTUŁ ORYGINAŁU

The Princess and Curdie

Copyright © for this edition by Fundacja Prodoteo,
Warszawa 2025

PRZEKŁAD

Magda Sobolewska

REDAKTOR PROWADZĄCY

Jacek Fronczak

KOREKTA

Barbara Manińska

PROJEKT OKŁADKI I SKŁAD

Wojciech Sobolewski

ILUSTRACJE

Katarzyna Sobolewska

Wydanie I

ISBN 978-83-67634-76-2

Fundacja Prodoteo

ul. Wybrzeże Gdyńskie 27, 01-531 Warszawa

prodoteo.pl

e-book dostępny na: contragentiles.pl/ksiegarnia

I.
GÓRA

CURDIE BYŁ SYNEM PIOTRA GÓRNIKA. MIESZKAŁ z ojcem i matką w chacie zbudowanej na zboczu góry i pracował razem z ojcem we wnętrzu góry.

Góra to dziwne i przerażające zjawisko. W dawnych czasach ludzie nie wiedzieli jeszcze, jak bardzo dziwne i przerażające są góry, a mimo to bali się ich znacznie bardziej niż my. Z drugiej strony jednak nie dostrzegali, że są one nie tylko przerażające, ale i piękne, przez co ich nienawidzili – a czego ludzie nienawidzą, tego zwykle się boją. My natomiast, odkąd nauczyliśmy się patrzeć na góry z podziwem, być może nie lękamy się ich wystarczająco. Dla mnie góry to urzekająca groza.

Spróbuję wam wyjaśnić, czym są góry. Otóż są to fragmenty serca ziemi, które uciekły z podziemnych lochów i wyrwały się w górę, na świat. Bowiem w sercu ziemi przelewa się morze – nie krwi co prawda, jak w sercach ludzi i zwierząt, ale rozpalonych do białości płynnych metali i skał. I jak bicie serca podtrzymuje nasze życie, tak gorąco tej wielkiej, rozgrzanej masy podtrzymuje życie na ziemi: jest to ni mniej, ni więcej, tylko energia zakopanego pod ziemią słońca.

A teraz pomyślcie: wprost z tego wrzącego kotła – w którym bąble powietrza, gdyby miały dość miejsca, byłyby wielkości Alp – niektóre bąble „wybąblowały” na zewnątrz i wyrwały się daleko wzwyż i oto stoją pod zimnym, dalekim niebem; to właśnie są góry. Pomyślcie o tej przemianie, a przestaniecie się dziwić, że



jest coś przerażającego w samym wyglądzie gór. Z ciemności – bo tam, gdzie światło nie oświetla niczego, nic go nie różni od ciemności – z gorąca, z bezustannie wrzącej kipieli – wzwyż, w nagłym zrywie ku niebu, na powierzchnię ziemi – na wiatr, zimno i światło gwiazd, gdzie śnieg okrywa je niczym gronostajowy płaszcz ponad błękitno-zieloną zbroją lodowca; gdzie wielkie słońce, ich dziadek, świeci wysoko na niebie, a mała, oziębła ciotka księżyc kręci się po domu nocą; gdzie panuje wieczna cisza i tylko wiatr zmienia

skały i grotty w grzmiące organy dla młodych archaniołów, uczących się wyśpiewywać utajoną w sercu chwałę, a wokół szmerze płynna muzyka strumieni, które stale wypływają nowo narodzone z wnętrza lodowca.

Pomyślcie także o zmianie ich materii – już nie płynnej i miękkiej, bulgoczącej i rozżarzonej, tylko twardej, lśniącej i zimnej. Pomyślcie o stworzeniach skaczących po ich powierzchni i kopiących w nich nory, o ptakach budujących na nich swe gniazda, o drzewach porastających ich boki niczym okrycie z sierści, o ślicznej trawie w dolinach, o wdzięcznych kwiatach rozwijających się nawet na skraju ich lodowej zbroi niczym bogaty haft zdobiący ubranie pod spodem i o rzekach galopujących w dół dolinami, w zamęcie bieli i zieleni! A oprócz tego pomyślcie o groźnych przepaściach, w które podróźny może spaść i zginąć, o przerażających szczelinach błękitnego powietrza w lodowcach i o ciemnych, głębokich jeziorach pokrytych jak miniaturowe arktyczne oceany pływającymi kawałkami lodu.

A wszystko to na powierzchni góry! Zaś wewnątrz – kto zgadnie, co się tam kryje? Grotty przerażająco samotne, o ścianach wielokilometrowej grubości, mieniących się rudami złota czy srebra, miedzi czy żelaza, rtęci czy cyny, wysadzanych pewnie drogimi kamieniami – może płynie tam strumyk pełen bezokich ryb, szmerzący, szmerzący nieustannie, zimny, pluskający wśród brzegów wysadzanych czerwonymi i złotymi topazami albo po dnie z kamyków, wśród których trafiają się rubiny i szmaragdy, może diamenty i szafiry – kto wie? – a kto nie wie, ma prawo się domyślać – i wszystkie one czekają, by rozbłysnąć, czekają od milionów lat, odkąd ziemia oderwała się od słońca jak wielka bryła ognia i zaczęła stygnąć.

Są też grotty pełne wody, odrętwiająco zimnej albo przeraźliwie gorącej – gorętszej niż wrzątek. Z niektórych woda nie ma ujścia, a z innych wydostaje się kanałami jak krew krążąca w ciele: małe żyłki wodne przenikają z lodowca na górze do wielkich grot w sercu góry, skąd większe arterie odprowadzają wodę znów dalej, przez kominy, szczeliny i kanały wszelkiego rodzaju i kształtu, na wskroś skalnej masy, aż wytryska nowo narodzona na światło i pędzi w dół po zboczach potokami, a przez doliny rzekami – z radością wciąż niżej i niżej, do potężnych płuc świata, czyli mórz, gdzie miotają nią burze i cyklony, gdzie wznosi się i opada z falami, wiruje w trąbach wodnych, rozbryzguje na skałach, uderzana milionami ogonów, wydechana milionami skrzeli, aż wreszcie zmieniona w parę wodną przez słońce, unosi się czysta w powietrze, gdzie usłużne wiatry niosą ją z powrotem ku szczytom gór, ku śniegom, okowom lodu i topniejącym strumieniom.

Otóż wystarczyło, że serce ziemi wyrwało się wzwyż, ku jej dzieciom, przynosząc im w podarunku ze wszystkich jej skarbów po trosze, a już dzieci te, nie zwlekając, zaglądały do środka, żeby zobaczyć, co można tam znaleźć. Kilofem, szpadlem i łomem, świdrem i prochem otwierają sobie drogę z powrotem: czyżby szukały zabawek zostawionych w opuszczonym dzieciennym pokoju? Oto dłaczego góry, unoszące swe głowy wysoko w czystym powietrzu i upstrzone z wierzchu ludzkimi siedzibami, pełne są w środku tuneli i ciemnych korytarzy wykutych przez mieszkańców domostw, które one same dźwigają ku słońcu.

Do ludzi tych zaliczali się Curdie i jego ojciec: ich pracą było wydobywanie tego, co ukryte, na światło; szukali w skałach srebra i znajdowali je, a potem wynosili spod ziemi. O innych skarbach ukrytych we wnętrzu góry wiedzieli mało albo zgoła nic. Posłano

ich, by szukali rudy srebra, więc znajdowali ją wśród ciemności i niebezpieczeństw. Ale jakże słodki był wietrzyk na stoku góry, gdy wychodzili o zachodzie słońca, aby wrócić do domu, do matki i żony! Wtedy dopiero oddychali pełną piersią!

Kopalnie należały do króla, a górnicy byli jego sługami, pracującymi pod kontrolą nadzorców i urzędników. Był to prawdziwy król – to znaczy taki, który sprawował władzę dla dobra swoich poddanych, a nie po to, by sobie dogadzać, i nie potrzebował srebra na zakup drogocennych przedmiotów dla siebie, ale do sprawowania rządów – na wynagrodzenie armii, która broniła kraju przed pewnymi dokuczliwymi sąsiadami, i sędziów, których ustanowił, by wymierzali sprawiedliwość poddanym, tak aby wszyscy ostatecznie sami jej się nauczyli i umieli radzić sobie bez ich pomocy. Nic, co da się wykopać z serca ziemi, nie mogłoby być lepiej wykorzystane niż srebro, które wydobywali dla króla jego górnicy. Byli co prawda w kraju ludzie, którzy dostawszy srebro w swoje ręce, zamykali je w skrzyniach, a wtedy srebro traciło wartość, psuło się i zaczynało je nazywać mamoną; powodowało też rozmaite kłótnie. Na początku jednak, kiedy król puszczał je w obieg, nie rodziło nic poza przyjaźnią, a na świeżym powietrzu zachowywało czystość.

Mniej więcej rok przed początkiem naszej opowieści zakończył się ciąg niezwykłych wydarzeń. Opowiem o nich tyle, żeby przynajmniej trochę odsłonić korzenie tej historii.

Na jednej z wielu ostróg góry stał wspaniały stary dom – na wpół zamek, na wpół gospodarstwo – należący do Jego Wysokości. W tym domu jego jedyne dziecko, królowa Irena, wychowywała się prawie do dziewiątych urodzin, a mieszkałaby tam zapewne o wiele dłużej, gdyby nie dziwne wydarzenia, o których wspominałem.

Puste przestrzenie we wnętrzu góry były wówczas zamieszkiwane przez stworzenia nazywane goblinami, które z różnych przyczyn i na różne sposoby dokuczały wszystkim dookoła, a dla małej królowej były wręcz niebezpieczne. Ich złowrogie plany, głównie dzięki czujności, oddaniu i przedsiębiorczości Curdiego zostały jednak całkowicie zniweczone i zemściły się na nich, przynosząc zgubę im samym, tak że obecnie bardzo niewiele z nich pozostało przy życiu. Górnicy nie wierzyli, by w całym wnętrzu góry błakał się choćby jeden goblin.

Królowi tak spodobał się mały górnik – mający wówczas prawie trzynaście lat – że odjeżdżając z córką poprosił go, by im towarzyszył. Jeszcze bardziej spodobało mu się jednak, gdy usłyszał, że Curdie woli zostać z ojcem i matką. Jako naprawdę dobry król wiedział, że miłość chłopca, który nie chce w pogoni za wielkością opuścić rodziców, jest warta dziesięć tysięcy razy więcej niż przysięga oddania życia za władcę, i że we właściwym czasie jej wartość zostanie udowodniona. Co do ojca i matki chłopca, to gotowi byli oddać go bez szemrania, bo byli tak samo dobrzy jak król i rozumieli się z nim bez słowa, Curdie jednak uważał, że skoro nie może zrobić dla króla nic, czego nie mógłby równie dobrze zrobić jeden z jego licznych sług, ma prawo sam podjąć decyzję. Król zatem pożegnał się z nimi uprzejmie i odjechał, posadziwszy córkę przed sobą na koniu.

Przygnębienie zapanowało na górze i w sercach górników po jej odjeździe, a Curdie przestał gwizdać na cały tydzień. Co do rymowanek, to nie miał teraz okazji, by je układać. Ich jedynym celem było przecież odstraszenie goblinów, które teraz zniknęły – dzięki Bogu! – tylko że królowa zniknęła także. Gdyby nie dobro królowej, wołałby już, żeby wszystko zostało jak dawniej. Ale kto

gorliwie pracuje, ten szybko odzyskuje humor i chociaż górnikom brakowało mieszkańców wielkiego domu, musieli się nauczyć żyć dalej bez nich.

Piotr i jego żona martwili się jednak, bo mieli wrażenie, że stanęli synowi na drodze do szczęścia. Myśleli, że byłoby czymś wspaniałym dla niego i dla nich również, gdyby Curdie odjechał w orszaku dobrego króla. Jak pięknie wyglądał – mówili sobie – gdy na królewskim rumaku pokonywał rzekę, która za sprawą goblinów spłynęła ze wzgórza! Kto wie, może wkrótce zostałby kapitanem? Dobrzy, kochani rodzice nie brali pod uwagę, że jedyna prosta droga wiedzie do najbliższego obowiązku i że nigdy nie powinniśmy życzyć naszym dzieciom albo przyjaciołom – dla ich domniemanego dobra – zrobienia czegoś, czego my sami na ich miejscu nigdy byśmy nie zrobili. Słuszne ofiary trzeba umieć nie tylko ponosić, ale i przyjmować.

II. BIAŁY GOŁĄB

KIEDY ZIMĄ PO KOLACJI SIADYWALI PRZY KOMINKU albo kiedy latem odpoczywali nad kamienistym strumieniem wypływającym spod ośnieżonych, często zachmurzonych gór i przecinającym łączkę przed drzwiami ich chaty, matka Curdiego nierzadko kierowała rozmowę ku pewnej szczególnej osobie, która, jak mówiono i wierzono, odegrała ważną rolę w niedawnych wydarzeniach.

Osobą tą była prapraprababka królowny, o której królowna często mówiła, ale której ani Curdie, ani jego matka nigdy nie widzieli. Curdie pamiętał co prawda – chociaż coraz bardziej wydawało mu się to snem, a nie wydarzeniem, za którego prawdziwość mógłby ręczyć – jak królowna pewnego razu zaprowadziła go po wielu stopniach na górę, do miejsca, które nazywała piękną komnatą na szczycie wieży. Tam zaczęła – jak miał to określić? – pozorować, że przedstawia go swojej prababce, zwracając się raz do niej, raz do niego, podczas gdy on nie widział nic poza pustym poddaszem, stertą spleśniałej słomy, promieniem słońca i pomarszczonym jabłkiem. Przed samym królem przysięgłby, że żadnej pani – ani starej, ani młodej – w ogóle tam nie było, oczywiście jeśli nie liczyć królowny, która była najwyraźniej zdenerwowana, że Curdie nie widzi tego, co (jak jej się wydawało) widziała ona sama.

Natomiast matka Curdiego kiedyś, jeszcze przed jego urodzeniem, widziała tajemnicze światło pasujące do opisu czegoś, co Irenka nazywała księżycem prababki. Sam Curdie także widział

to światło jaśniejące nad zamkiem w chwili, gdy król i królowa właśnie ruszali w drogę. Od tamtej pory nie widzieli ani nie słyszeli nic, co mogłoby mieć z tą niezwykłą osobą jakiś związek. Co jeszcze dziwniejsze, nikt nie widział jej odejścia. Była przecież starszą panią, więc trudno się spodziewać, żeby wybrała się w drogę sama, piechotą i na dodatek wtedy, gdy wszyscy domownicy spali. Oczywiście musiała jakoś opuścić zamek, bo skoro była tak potężna, zapewne zawsze przebywała blisko królowy, żeby się nią opiekować.

Jednak im Curdie był starszy, tym bardziej podejrzewał, że Irenka opowiadała mu po prostu o śnie, który wzięła za rzeczywistość: słyszał, jak czasem mówiono, że dzieci nie zawsze potrafią odróżnić sny od prawdziwych wydarzeń. Z drugiej strony nie wiedział, co myśleć o opowieści matki. Przecież jako dobry syn nie mógł podejrzewać, że matka, której zawdzięcza całą swoją wiedzę, mogłaby pomylić jawę ze snem.

Starał się zatem o tej sprawie nie myśleć, a im rzadziej to robił, tym mniej był skłonny w nią wierzyć wtedy, gdy jednak o niej pomyślał. Z tego też powodu coraz rzadziej rozmawiał o niej z ojcem i matką. Bo choć ojciec Curdiego należał do tych, którzy przed powiedzeniem słowa zastanawiają się dwadzieścia razy, Curdie był pewien, że ojciec prędzej nie uwierzyłby własnym oczom niż opowieściom żony.

Poza rodzicami nie miał nikogo, z kim mógłby o tym porozmawiać. Górnicy stanowili mieszane towarzystwo – jedni dobrzy, inni niezbyt dobrzy, jeszcze inni raczej źli – a żaden tak dobry albo tak zły, jak mógłby być. Curdie przeważnie ich lubił, a sam był ulubieńcem wszystkich, ale górnicy wiedzieli bardzo niewiele o zewnętrznym świecie i o tym, co może, a co nie może się w nim

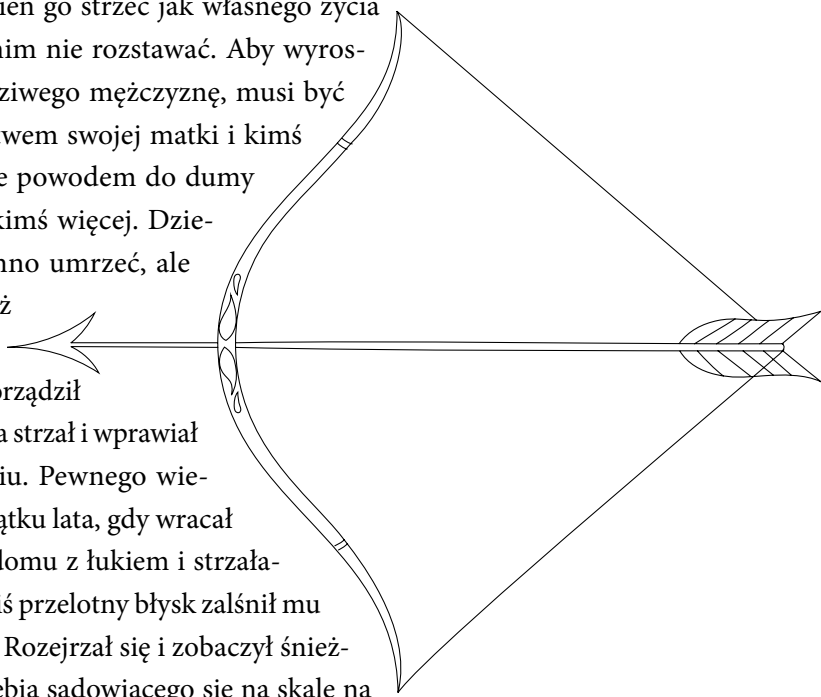
wydarzyć. Potrafili odróżnić złoża srebra od złóż miedzi, znali się na podziemiach i wyglądali bardzo mądrze, gdy z latarniami w rękach wypatrywali dowodów występowania rudy albo znaków wskazujących im drogę pod ziemią; ale co do prapraprababek, to kpiliby z Curdiego do końca życia, że z niedorzecznych powodów nie ma całkowitej pewności, iż to, w co wierzą święcie jego ojciec i matka, to śmiechu warta bzdura. No cóż, samo słowo „prapraprababka” wystarczyłoby im jako powód do żartów na cały tydzień! Nie sądzę, żeby w ogóle potrafili uwierzyć w istnienie prapraprababek, skoro nigdy żadnej nie widzieli.

Przebywając w towarzystwie górników Curdie nie robił prawdziwych postępów, przez co rozwijał się szybciej na ciełe, a wolniej na umyśle, czyli po prostu stawał się coraz głupszy – czego najlepszym dowodem był fakt, że coraz mniej wierzył w to, czego nigdy nie widział. Nie sądzę jednak, by zgłupiał do tego stopnia, żeby uważać to za oznakę wyjątkowej umysłowej sprawności i siły. Stawał się jednak coraz bardziej górnikiem, a coraz mniej człowiekiem wyżyn, gdzie dmie swobodny wiatr. W drodze z domu do kopalni i z kopalni do domu nie zwracał już prawie wcale uwagi na pszczoły i motyle, ćmy i ważki, kwiaty, strumienie i chmury. Powoli stawał się całkiem zwykłym śmiertelnikiem.

Ludzie rosną rozmaicie: jedni rosnąc ciągle umierają, inni – nieustannie powstają z martwych. Ci drudzy uczą się z czasem na pierwszy rzut oka rozpoznawać, co jest prawdziwe; ci pierwsi coraz bardziej boją się być oszukani; boją się tak bardzo, że w końcu do cna oszukują samych siebie i nie wierzą już w nic, poza tym, co mają na talerzu. Według nich pewnym można być tylko tego, co da się ugryźć.

A zatem Curdie w tym czasie nie miał się najlepiej. Ojciec i matka nie mogli mu co prawda nic zarzucić, a jednak... a jednak żadnemu z nich na myśl o synu nie chciało się śpiewać. Musi być coś niedobrego w tym, że matka bezwiednie z westchnieniem wspomina czasy, gdy jej syn nosił kaftanik, albo ojciec smutnie je na myśl o tym, jak nosił go na ramieniu. Każdy młodzieniec powinien w głębi serca ukryć i zatrzymać dziecko, którym był kiedyś, powinien go strzec jak własnego życia i nigdy się z nim nie rozstawać. Aby wyrosnąć na prawdziwego mężczyznę, musi być nadal maleństwem swojej matki i kimś więcej, a także powodem do dumy swego ojca i kimś więcej. Dziecko nie powinno umrzeć, ale rodzić się wciąż na nowo.

Curdie sporządził sobie łuk i kilka strzał i wprawiał się w strzelaniu. Pewnego wieczoru na początku lata, gdy wracał z kopalni do domu z łukiem i strzałami w ręku, jakiś przelotny błysk zaślnął mu przed oczami. Rozejrzał się i zobaczył śnieżnobiałego gołębia sadowiącego się na skale na wprost niego, w czerwonym świetle zachodzącego słońca. Ptak natychmiast zajął się jednym ze skrzydeł, w którym zwichrzyło się kilka piórek; nierówność ta drażniła widocznie pedantycznego mieszkańca przestworzy.



Gołąb był naprawdę piękny i Curdie myślał sobie, jak szczęśliwe musi się czuć stworzenie przesywające powietrze niczym żywa, świetlista błyskawica. Przez mgnienie oka odczuwał taką jedność z ptakiem, że zdawało się mu, jakby sam miał dziób i pióra, które nim poprawiał, by móc lecieć dalej i to nagłe zrozumienie mimo woli napełniło jego serce radością. Jeszcze chwila, a gołąb poszybowałby na falach różowej poświaty – właśnie podkurczył nóżki, by zerwać się do lotu – i w tej samej chwili padł na ścieżkę ze złamanym skrzydłem, zraniony okrutną strzałą młodego górnika.

Dumny ze swojej zręczności i zadowolony z sukcesu, chłopiec podbiegł, by podnieść swą zdobycz. Muszę przyznać, że podniósł ją delikatnie – może był to początek jego skruchy. Kiedy jednak miał już w ręku białą istotę – białe pióra splamione inną czerwienią niż światło zachodu, w którym przed chwilą były skąpane – ach, mój Boże, któż pojmie radość ptaka, rozkosz stworzenia, które nie ma stodoł ani spichlerzy! – a zatem kiedy trzymał ją już, jak mówiłem, w zwycięskim ręku, skrzydlata istota spojrzała na niego – i to jak spojrzała! Jej wzrok pytał go, co się stało i gdzie znikło czerwone słońce i chmury, i podmuch wiatru. Oczy zamknęły się, ale zaraz otwarły znowu, z tym samym niemym pytaniem. A gdy tak otwierały się i zamykały, ich spojrzenie stale było w niego utkwione. Ptak nie zatrzepotał ani razu i nie próbował uciekać; biło mu tylko serce, krwawił i wciąż na niego patrzył. W piersi Curdiego wzbierały coraz silniejsze uczucia. Co to mogło znaczyć? Przecież to tylko gołąb, czemu nie miałby zabić gołębia? W rzeczywistości jednak aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, czym naprawdę jest gołąb. Większość z nas dokonuje w życiu wielu takich odkryć. Ptak raz jeszcze otworzył oczy – a potem zamknął je znowu. Bicie serca ustało. Z piersi Curdiego wyrwał się szloch: to ostatnie spojrzenie, choć nie wiedział

dlaczego, przywiodło mu na myśl królownę. Przypomnił sobie, jak bardzo się trudził, żeby uchronić ją przed niebezpieczeństwem, a przecież ona także musiała stawić czoła wielu niebezpieczeństwom, by go ocalić – byli nawzajem swoimi wybawicielami – i co on teraz robił? Przestał ratować, a zaczął zabijać! Po co został posłany na ten świat? Z pewnością nie po to, by uśmiercić tak szczęśliwą i piękną istotę. Zrobił coś sprzeciwiającego się radości; stał się niszczycielem! Nie okazał się tym, kim miał być!

Z podziemi chłopięcego serca popłynęły strumienie. A wraz ze łzami wróciło wspomnienie białego gołębia, który tuż przed odjazdem królowny wyleciał skądś – tak, z lampy prababki! – okrążył króla, Irenkę i jego samego, a potem odfrunął; to mógł być ten sam gołąb! Co za straszna myśl! A jeśli nawet nie był to ten sam ptak, to w każdym razie był to biały gołąb, taki sam jak tamten. A jeśli prababka królowny hodowała dużo gołębi – i, jak słyszał od Irenki, były wśród nich również białe, to czyjego gołębia właśnie zabił, jeśli nie owej wielkiej prababki?

Nagle jakby wszystko sprzysięgło się przeciw niemu. Czerwony zachód słońca kłuł go w oczy, skały spoglądały karcąco, łagodny wietrzyk, który chłodził mu twarz, gdy wspinał się pod górę, teraz zupełnie ucichł – jakby chłopiec nie zasługiwał już na jego pocałunki. Czyżby cały świat skazywał go na wygnanie? Czyżby miał tak stać w nieskończoność, nie wiedząc co robić, z martwym gołębiem w ręku? Sprawy przedstawiały się naprawdę niewesoło. Czy cały świat zamierzał dać mu nauczkę z powodu gołębia – białego gołębia?

Słońce zaszło. Wielkie chmury zebrały się na zachodzie i przyspieszyły zmierzch. Wiatr zajęczał, a potem ucichł znowu. Chmury zgęstniały. Wtem rozległo się głucho dudnienie. Curdie

pomyślał, że grzmi. Ale to kamień stoczył się z łoskotem gdzieś we wnętrzu góry. Chłopca minął pędzący w dół zbocza kozioł, a za nim pies, którego wysłano, by zagnał go do zagrody. Curdiemu zdawało się, że to zwierzęta goblinów i wzdrygnął się z odrazą. Kiedyś nie znosił tych stworzeń. Nadal ostrożnie trzymał w ręku martwego gołębia.

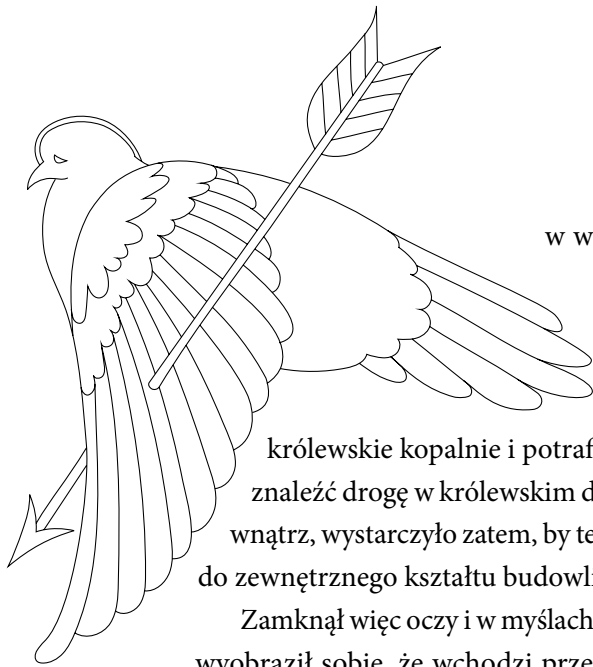
Robiło się coraz ciemniej. Jakieś złe myśli zaczęły nurtować jego serce. „Co za głupiec ze mnie!” – powiedział do siebie. Ogarnęła go złość i już miał odrzucić martwego ptaka jak najdalej i zacząć gwizdać, gdy nagle rozbłysła wokół niego dziwna jasność. Podniósł wzrok i zobaczył kulę światła – jakby srebro rozżarzone do białości (widział kiedyś płynne srebro wylewane z pieca). Kula jaśniała gdzieś nad dachami zamku: to musiał być księżyc wielkiej królowej prababki! Jakim cudem się tam znalazła? Nie mogło jej tam być, to oczywiste! Wypytywał przecież wszystkich domowników i nikt nie wiedział niczego ani o niej, ani o świecącej kuli. To nie mogła być prawda! A jednak, jak miał rozumieć to, że przed nim świeciła biała kula, a w jego ręku spoczywa biały martwy gołąb? W tej samej chwili ptak zatrzepotał lekko.

– On nie jest martwy! – zawołał, a raczej wrzasnął Curdie. I już pędził jak mógł najszybciej w stronę zamku, starając się nie uderzać piętami w ziemię, żeby nie trząść biednym, zranionym ptakiem.

PANI SREBRNEGO KSIĘŻYCA

KIEDY CURDIE DOTARŁ DO ZAMKU I WBIEGL DO MAŁEGO ogródka od frontu, zastał drzwi szeroko otwarte. To właśnie miał nadzieję zobaczyć, bo cóż miałby powiedzieć, gdyby musiał do nich zapukać? Ci, których zadaniem jest otwieranie drzwi, tak często myślą się i zamykają je, zamiast otwierać! Jednakże kobieta, która teraz sprawowała pieczę nad domem, często głowiła się nad niezrozumiałym faktem, że ilekroć zamknęła owe drzwi, których zamykaniem – podobnie jak wszystkich innych – całkiem niepotrzebnie się trudziła, tylekroć znajdowała je później otwarte. Mówię tu rzecz jasna o wielkich drzwiach frontowych; drzwi kuchenne uparcie zostawiała na oścież – gdyby ktoś przez nie wszedł, mawiała, od razu wiedziałaby, co to za jeden i czego szuka. Gdyby jednak zobaczyła Curdiego, nie wiedziałaby ani co to za jeden, ani czego szuka, i z pewnością by go nie wpuściła, bo nie miała pojęcia, kto mieszka w wieży. A zatem drzwi frontowe były otwarte i Curdie wszedł do środka.

Nie wiedział jednak, dokąd iść dalej. We wnętrzu nie było całkiem ciemno: panował tu przyćmiony, mętny półmrok. Curdie pamiętał jedynie, że musi wejść na górę, i to jak na razie mu wystarczyło, bo ujrzał przed sobą wielkie schody. Kiedy już je pokonał, rozumiał, że gdzieś muszą się kryć kolejne, bo z pewnością nie dotarł jeszcze na szczyt wieży. Co więcej, położenie wielkich schodów mówiło mu, że znajduje się jeszcze dość daleko od samej wieży. Ludziom pracującym na co dzień w kopalni łatwiej się odnaleźć



w wysokich budowlach, bo w rzeczywistości są one bardzo podobne do podziemi; górnicy przebywają wewnątrz góry, i dlatego Curdie, który znał królewskie kopalnie i potrafił się w nich orientować, umiał znaleźć drogę w królewskim domu. Znał go doskonale od zewnątrz, wystarczyło zatem, by teraz dopasował rozkład wnętrza do zewnętrznego kształtu budowli.

Zamknął więc oczy i w myślach odtworzył obraz zamku. Potem wyobraził sobie, że wchodzi przez jego frontowe drzwi, a równocześnie nadal miał przed oczami obraz całości – w wyobraźni bowiem jest to możliwe – i pokonał raz jeszcze wszystkie zakręty schodów, nie tracąc przy tym ani na chwilę pewności co do położenia wieży. W ten sposób, kiedy w wyobraźni dotarł do miejsca, gdzie znajdował się rzeczywiście, czyli do szczytu wielkich schodów, wiedział dokładnie, w którym kierunku iść, by dotrzeć do wieży, i ruszył od razu w tę stronę.

Po drodze znów jednak natrafił na schody i wszedł po nich, przy każdym zakręcie pamiętając rzecz jasna o położeniu wieży. Gdy i te schody się skończyły, zaczęły się następne – były to te same schody, na które wbiegła królowna, kiedy pierwszy raz, wcale o tym nie wiedząc, zmierzała na spotkanie ze swoją prapraprababką. Wspiąwszy się na nie chłopiec nie znalazł kolejnych i uznał, że powinien raz jeszcze ruszyć w kierunku wieży, która, skoro wznosiła się wysoko nad resztą domostwa, musiała kryć ostatnie schody w swoim wnętrzu.

Jako że aż do ostatniego zakrętu schodów pilnował swojego położenia, nadal wiedział całkiem dobrze, w którą stronę iść. Od

szczytu schodów ruszył zatem korytarzem wiodącym przynajmniej w przybliżeniu, jeśli nie dokładnie, w kierunku wieży. Panowała tu ciemność, korytarz bowiem był bardzo długi, z jednym jedynym oknem na końcu, a chociaż po obu jego stronach widniały drzwi, wszystkie były zamknięte. Odległe okno wychodziło na zimny wschód połyskujący kilkoma bladymi gwiazdkami; wyglądał on staro i ponuro, miał bury odcień i robił takie wrażenie, jakby rozmyślał o dniu, który właśnie przeminął. Chwilę potem Curdie skręcił w inny korytarz, także z oknem na końcu. Wpadał przez nie ostatni blask zachodu, z którego została jakby resztką popiołu, tu i ówdzie mieniąca się ciepłymi barwami. Zachód wyglądał niemal tak samo smutno jak wschód, z tą różnicą, że najwyraźniej dumał o dniu, który dopiero ma nadejść.

W tej chwili Curdiego nie interesowało jednak dziś ani jutro; jego uwagę zaprzętały ptak i wieża zamieszкана przez królową prababkę, której ów ptak był własnością. Trzymał się więc obranego kursu, cały czas na wschód, aż znalazł się w nowym korytarzu zakończonym drzwiami. Bał się je otworzyć bez pukania. Zastukał, ale nikt nie odpowiadał. Jakąś odpowiedź jednak otrzymał, bo drzwi uchyliły się lekko i odsłoniły wąskie schodki – tak strome, że Curdie, mimo słusznego wzrostu, musiał (podobnie jak przed nim królewna Irena) pomagać sobie rękami. Wspinaczka była długa, ale wreszcie dotarł do szczytu schodów – do małego podestu z drzwiami na wprost i po obu bokach. W które powinien zastukać?

Gdy tak się wahał, usłyszał dźwięk kołowrotka. Poznał go od razu, bo dawno, dawno temu kołowrotek matki był jego nauczycielem, a i teraz uczył go wielu rzeczy. To kołowrotek pierwszy nauczył go rymować i śpiewać, a także zastanawiać się, czy wszystko w jego wnętrzu jest w porządku; w każdym razie we wszystkim tym mu

pomagał. Dlatego nie było nic dziwnego w tym, że rozpoznał dźwięk kołowrotka, gdy tylko usłyszał, jak śpiewa – chociaż jego piosenka w porównaniu z odgłosem matczynego kołowrotka brzmiała jak śpiew rajskiego ptaka przy głosach zwykłych ptaków.

Stał tak zasłuchany i oczarowany, że zapomniał zapukać, a kołowrotek śpiewał dalej, przędąc w jego głowie piosenki, baśnie i rymowanki, aż w końcu chłopiec nie tylko zaczął śnić, ale też niemal zasnął, bo nie zawsze najpierw zasypiamy, a dopiero potem zaczynamy śnić. Nagle jednak przypomniał sobie o biednym ptaku, który przez cały czas spoczywał nieruchomo w jego ręku; to go obudziło i w końcu zastukał.

– Wejdz, Curdie – odezwał się głos.

Curdie zadrżał. Ogarnęło go przerażenie. Serce, które niewiele sobie robiło z całej armii goblinów, struchlało na ciche słowo zaproszenia. Przecież miał w ręku białą istotę splamioną czerwienią! Nie ważył się jednak dłużej zwlekać. Delikatnie otworzył drzwi, zza których dopływał dźwięk i... co zobaczył? W pierwszej chwili nie zobaczył nic – tylko wielki ukośny snop księżycowego światła padający przez okno i oświetlający podłogę. Stał i gapił się na niego, zapominając zamknąć drzwi.

– Dlaczego nie wejdiesz, Curdie? – odezwał się głos. – Czyżbyś nigdy nie widział blasku księżyca?

– Bez księżyca nie – odparł Curdie niepewnie, zbierając się na odwagę.

– Oczywiście, że nie – odparł głos, bardzo cienki i drżący. – Nawet ja nie widziałam księżycowego światła bez księżyca.

– Ale na zewnątrz nie świeci księżyc – zaproponował Curdie.

– No, ale przecież teraz jesteś wewnątrz – odezwał się głos.

Ta odpowiedź nie zadowoliła Curdiego, ale głos mówił dalej.

– Księżyców jest więcej niż ci się wydaje, Curdie. Tam, gdzie jest jedno słońce, jest też wiele księżyców, i to najróżniejszych. Podejź do mojego okna, a szybko się przekonasz, że naprawdę zagląda przez nie księżyc.

Łagodnie brzmienie głosu przypomniało Curdiemu o dobrym wychowaniu. Zamknął za sobą drzwi i podszedł krok czy dwa w stronę plamy księżycowego światła.

Przez cały ten czas odgłos przędzenia nie ustawał i teraz nareszcie Curdie dostrzegł kołowrotek. Jakże był wąty i delikatny – kręcące się koło przypominało rozpiętą na żywopłocie pajęczynę. Stał w środku plamy księżycowego światła i wyglądał tak, jakby niemal się w nim rozpląwał. Chłopiec podszedł jeszcze krok bliżej i z zaskoczeniem ujrzał dwie drobne dłonie przędące na kołowrotku. Wreszcie w cieniu po drugiej stronie snopu światła zobaczył postać, do której one należały: niewielką, zasuszoną istotę, tak starą, że żaden wiek nie wydawałby się zbyt wielki, by ją opisać, siedzącą na stołeczku za kołowrotkiem, który w porównaniu z nią wydawał się bardzo duży, ale, jak już mówiłem, niezwykle wąty, jak długonogi pająk trzymający się pajęczyny, czyli wirującego koła. Niezwykła osoba siedziała zgarbiona i wyglądała tak bezcielesnie, jakby mógł ją zdmuchnąć byle ruch powietrza – nie przychodzi mi na myśl nic, co przypominałaby bardziej, niż puste musze ciało wysane przez wielkiego pająka i pozostawione w sieci.

Zobaczywszy ją, Curdie znów stanął jak wryty. Wielkie zdumienie mieszało się w jego sercu z odrobiną szacunku, szczyptą zwątpienia i – muszę przyznać – sporą dawką rozbawienia na widok tego dziwnego, wiekowego zjawiska. Włosy staruszki zlewały się z księżycowym blaskiem, tak że nie umiał rozróżnić, gdzie jedno się kończy, a drugie zaczyna. Miała zgarbione plecy, zapadniętą

klatkę piersiową, głowę niemal całkowicie schowaną w ramionach, a drobne dłonie jak szare kurze pazurki skrobały przedzioną nitkę, której Curdie rzecz jasna nie widział poprzez snop księżycowej poświaty. Doprawdy, chłopiec nie mógł na ten widok nie roześmiać się w duchu choć trochę; a kiedy pomyślał o tym, jak królewna opowiadała mu o swojej wielkiej, potężnej, starej prababce, rozśmieszyło go to jeszcze bardziej. W tej samej chwili jednak staruszka pochyliła się tak, że padło na nią światło księżyca i Curdie dostrzegł jej oczy. Od razu odechciało mu się śmiać.

– Po co tu przyszedłeś, Curdie? – spytała, tak samo łagodnie jak przedtem.

Wtedy chłopiec przypomniał sobie, że stoi tu jako winowajca, i to winowajca, który jeszcze nie wyznał swojej winy. Nie było czasu na wahanie.

– Niech pani sama zobaczy – powiedział i zbliżył się krok czy dwa, wyciągając rękę z gołębiem.

– Co tam masz? – spytała staruszka.

Curdie znów podszedł kilka kroków i zbliżył rękę do światła, żeby staruszka mogła zobaczyć gołębia. Gdy tylko padły nań promienie księżyca, ptak zatrzepotał lekko. Staruszka wyciągnęła ręce, wzięła go, przytuliła do piersi i zaczęła kołysać mamrocząc coś pod nosem, jakby próbowała utulić chore dziecko.

Kiedy Curdie zobaczył, jak jest przejęta, ogarnął go jeszcze większy żal i powiedział:

– Nie chciałem zrobić nic złego, proszę pani. Nie pomyślałem, że to może być pani gołąb.

– Ach, Curdie! Gdyby nie był mój, co by się z nim teraz stało? – odparła staruszka. – Mówisz, że nie chciałeś zrobić nic złego. A czy chciałeś zrobić coś dobrego?

– Nie – odpowiedział Curdie.

– A więc pamiętaj, że ten, kto nie chce niczego dobrego, zawsze ryzykuje, że popełni zło. Staram się jednak każdego traktować sprawiedliwie, a ci, którzy błędzą, potrzebują sprawiedliwości o wiele bardziej niż ci, którzy postępują właściwie; ci drudzy mogą się bez niej obejść. Dlatego powiem ci, że kiedy strzelałeś, nie miałeś pojęcia, czym jest gołąb. Teraz, kiedy już wiesz, żałujesz swojego czynu. Niebezpiecznie jest robić coś, o czym się nic nie wie.

– Za pozwoleniem, nie chciałbym wyjść na gbura ani się z panią kłócić – odezwał się Curdie – ale gdyby człowiek miał robić tylko to, o czym wie, że jest dobre, to przez pół życia w ogóle nic by nie robił.

– Mylisz się, i to bardzo – odparł drżący, wiekowy głos. – Widać, że mało nad tym myślałeś! Przecież nie widzisz nawet, jak wiele dobrych rzeczy robisz na co dzień. Nie zrozum mnie źle. Nie chodzi mi o to, że skoro je robisz, to sam jesteś dobry. Czymś dobrym jest zjeść śniadanie, ale nie uważasz chyba, że zjedzenie śniadania dowodzi twojej dobroci. Dobre jest to, co robisz, a nie ty sam.

Curdie roześmiał się.

– Dobrych rzeczy jest do robienia o wiele więcej niż złych. A teraz powiedz mi, co jeszcze złego zrobiłeś dzisiaj poza tym, że tak okrutnie zraniłeś mojego białego przyjaciela?

Kiedy to mówiła, Curdie pogrążył się w zadumie, tak że nie wiedział już prawie, czy słowa te płyną z ust starszej pani, czy z jego własnego serca. A gdy usłyszał ostatnie pytanie, z początku skłonny był uznać, że ogólnie rzecz biorąc jest całkiem w porządku. „Naprawdę nie wydaje mi się, żebym przez cały dzień zrobił jeszcze coś złego” – powiedział sobie w duchu. Równocześnie jednak nie mógł uczciwie stwierdzić, że zasłużył na taką obronę. Niespodziewanie,

jakby ktoś włączył światło, rozjaśniło mu się w głowie i ocknął się z zadumy; po drugiej stronie snopu księżycowego światła majaczyła zasuszona sylwetka staruszki, a w pełnym świetle kołowrotek śpiewał i śpiewał nieprzerwanie!

– Teraz już wiem, proszę pani; teraz już rozumiem – powiedział Curdie. – Dziękuję, że uprzedła pani tę myśl we mnie na swoim kołowrotku. Teraz widzę, że robiłem złe rzeczy przez cały ten dzień i przez wiele innych dni także! Naprawdę nie wiem, czy w ogóle robiłem w życiu coś dobrego, chociaż wydaje mi się, jakbym kiedyś to potrafił, a potem zapomniał, jak to się robi. Kiedy zabiłem pani gołębia, nie wiedziałem, że robię złe, bo po prostu ciągle robiłem coś złego i cały byłem już tym złem przesiąknięty.

– Co złego zrobiłeś cały dzień, Curdie? Lepiej wyrażać się ściśle – odezwała się starsza pani, a jej głos był jeszcze łagodniejszy niż przedtem.

– Złe było to, że wcale nie chciałem ani nie próbowałem zmienić się na lepsze. A teraz widzę, że już od dawna pozwalałem, żeby sprawy toczyły się własnym torem. Robiłem to, co akurat przyszło mi do głowy, a tego, co akurat nie przyszło, po prostu nie robiłem. Niczego od siebie nie odsuwałem i nie spodziewałem się niczego, co mogłoby nadejść. Nie dbałem o mamę, o ojca zresztą też nie. A teraz, jak się nad tym zastanowię, przypominam sobie, że często widywałem ich zafrasowanych i nigdy nie pytałem dlaczego. No i wiem, że nie pytałem, bo miałem przecucie, że to może mieć coś wspólnego ze mną i moim zachowaniem, a wcale nie chciałem usłyszeć prawdy. Wiem jeszcze, że zrzędziłem na swoją pracę i robiłem setki innych złych rzeczy.

– Słusznie powiedziałaś, Curdie – odparła staruszka, a jej głos brzmiał prawie tak, jakby płakała. – Kiedy ludzie nie dbają o to,

by stawać się lepsi, po prostu muszą robić same złe rzeczy. Jestem taka zadowolona, że strzeliłeś do mojego gołębia!

– Ależ, proszę pani! – wykrzyknął Curdie. – Jak może pani być zadowolona?

– Jestem zadowolona, bo dzięki temu zrozumiałeś, jaki byłeś, kiedy to zrobiłeś, i że staniesz się jeszcze gorszy niż przedtem, jeśli nie będziesz uważał. Teraz, kiedy żałujesz, mój przyjaciel poczuje się lepiej. Spójrz na mnie, mój gołąbku!

Gołąb zatrzepotał i rozpostarł jedno z poplamionych czerwienią skrzydeł na piersi staruszki.

– Wyleczę mojego aniołka – ciągnęła starsza pani – i za tydzień czy dwa będzie latał znowu. Przynajmniej ten ciężar możesz zrzucić z serca.

– Och, dziękuję pani! Dziękuję! – zawołał Curdie. – Naprawdę nie wiem, jak pani dziękować!

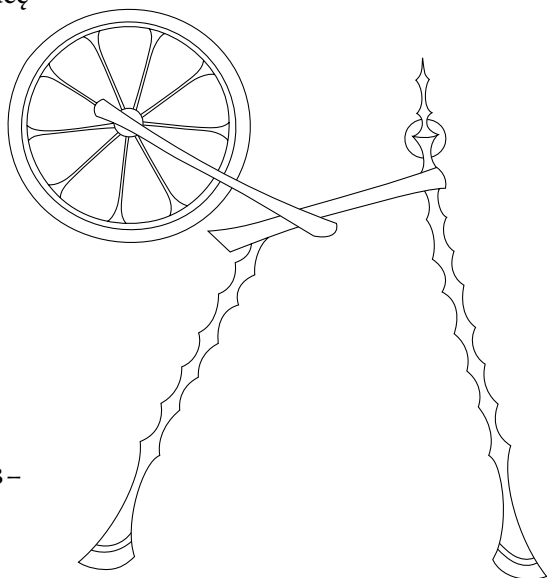
– Powiem ci jak. Na żadnym innym podziękowaniu mi nie zależy. Postępuj lepiej, zmieniaj się na lepsze i bądź lepszy. I nigdy nie zabijaj bez ważnego powodu.

– Przyniosę mój łuk i strzały, żeby sama je pani spaliła.

– Nie mam ognia, który by spalił twój łuk i strzały.

– No to obiecuję, że sam wrzucę je jutro rano do ognia, na którym mama gotuje owsiankę.

– Nie, Curdie. Zachowaj je i wprawiaj się codziennie, aż staniesz się dobrym strzelcem. Jest wiele złych rzeczy, które zasługują na to, by posłać im strzałę, i ta umiejętność może ci się



kiedyś przydać. Ale najpierw muszę się przekonać, czy zrobisz to, co ci powiem.

– Oczywiście! – odparł szybko Curdie. – Co takiego mam zrobić?

– Chodzi raczej o coś, czego masz nie robić – odpowiedziała starsza pani. – Jeśli usłyszysz, że ktoś o mnie mówi, masz nie śmiać się ze mnie ani nie żartować na mój temat.

– Ależ, proszę pani! – wykrzyknął Curdie zdumiony, że starszka może uważać taką prośbę za konieczną.

– Nie, nie, nie przerywaj – ciągnęła jego rozmówczyni. – Ludzie w tych stronach opowiadają czasem dziwne i tak naprawdę śmiechu warte historie o starej kobiecie, która widzi wszystko, i czasem wtrąca swoje trzy grosze w to, co się dzieje. Chodzi im o mnie, chociaż opowiadają najczęściej same niedorzeczności. Otóż oczekuję od ciebie, żebyś nie śmiał się ani w żaden inny sposób nie przyznawał im racji, bo dla nich będzie to oznaczało, że nie wierzysz w istnienie kogoś takiego ani odrobinę więcej od nich. A to przecież nie byłaby prawda – prawda, Curdie?

– Oczywiście, proszę pani. Przecież widziałem panią na własne oczy.

Staruszka uśmiechnęła się dziwnie.

– Tak, widziałeś mnie – powiedziała. – Ale uważaj – ciągnęła dalej – nie chcę, żebyś cokolwiek mówił, tylko żebyś trzymał język za zębami i nie dawał im do zrozumienia, że jesteś po ich stronie.

– To nie będzie trudne – uznał Curdie – po tym, jak panią widziałem.

– Może się okazać trudniejsze, niż myślisz – odrzekła starsza pani, znów zagadkowo się uśmiechając. – Chcę być z tobą w przyjaźni – dodała po krótkiej przerwie – tylko nie wiem, czy mi na to pozwolisz.

– Oczywiście, że pozwolę, proszę pani – zapewnił ją Curdie.

– Muszę się o tym sama przekonać – odparła z kolejnym osobliwym uśmiechem. – Na razie mogę powiedzieć tylko tyle: przyjdź do mnie znowu, kiedy wpadniesz w tarapaty, a zobaczę, co będę mogła dla ciebie zrobić. Tylko że to od ciebie zależy, *co* będę mogła zrobić. Jestem bardzo zadowolona, że przyniosłeś mi mojego gołębia; zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy, żeby naprawić to, co popsuleś.

Kiedy to mówiła, wyciągnęła do Curdiego rękę, a gdy ten ujął jej dłoń, wsparła się na jego ramieniu i wstała ze stołka, a wtedy – nie miał pojęcia, jak ani kiedy to się stało – stanęła przed nim wysoka i silna. Była niewątpliwie bardzo stara, ale jej wspinałość dorównywała starości, i wyglądała tylko *odrobinę* surowo. Wszelki ślad niemocy i zaszuszenia, tak widocznego, gdy przejrzysta jak błonka unosiła się przy kołowrotku, znikł bez śladu. Jej włosy jaśniały bielą, ale spływały na ramiona bardzo obficie i lśniły jak srebro w świetle księżyca. Stała przed zdumionym chłopcem prosta niczym kolumna, a zraniony ptak rozpościerał teraz oba skrzydła na jej piersi jak tajemniczy ornament ze srebrzystego szronu.

– Teraz nigdy pani nie zapomnę! – wykrzyknął Curdie. – Teraz widzę, kim pani jest naprawdę!

– Czy nie powiedziałam ci prawdy, kiedy siedziałam przy kołowrotku? – spytała pani.

– Samą prawdę, proszę pani – odrzekł Curdie.

– Teraz też nie mogę zrobić nic więcej, niż powiedzieć ci prawdę – dorzuciła pani. – To naprawdę zła rzecz zapomnieć o kimś, kto powiedział nam prawdę. A teraz idź.

Curdie usłuchał i zrobił kilka kroków w kierunku drzwi.

– Przepraszam, ale jak mam panią nazywać? – miał właśnie powiedzieć, ale kiedy odwrócił się, by przemówić, nie zobaczył nikogo. Nie potrafił rozeznaczyć, czy starsza pani była tam jeszcze, czy nie, bo snop księżycy zniknął i komnata tonęła w ciemnościach. Strach, jakiego nigdy jeszcze nie przeżył, niemal go sparaliżował. Chłopiec po omacku dotarł do drzwi i zaczął tyłem spuszczać się ze schodów – pełen wątpliwości i obaw, jak uda mu się znaleźć drogę do wyjścia w tak nieprzeniknionych ciemnościach. Schody wydawały się mu o wiele dłuższe, niż kiedy na nie wchodził. Nie było w tym jednak nic dziwnego, bo schodził wciąż niżej i niżej, aż w końcu uderzył nogą w drzwi, a kiedy wstał i je otworzył, znalazł się pod rozgwieżdżonym, bezksiężycowym niebem u stóp wieży.

Szybko znalazł wyjście z ogrodu, który znał już z wcześniejszych przygód, i po kilku minutach w uroczystym i wesołym nastroju wspinał się już na zbocze góry. Było dość ciemno, ale drogę znał dobrze. Kiedy mijał skałę, z której spadł raniony jego strzałą gołąb, serce przepełniła mu wielka radość na myśl, że został uwolniony od krwi biednego ptaka, ruszył więc biegiem i następne pięćdziesiąt metrów pędził pod górę, ile sił w nogach. Mijały go jakieś mroczne cienie; nie obchodziło go jednak wcale, co to może być i pozwolił im biec, dokąd chciały. Kiedy dotarł do domu, przekonał się, że ojciec i matka czekają na niego z kolacją.

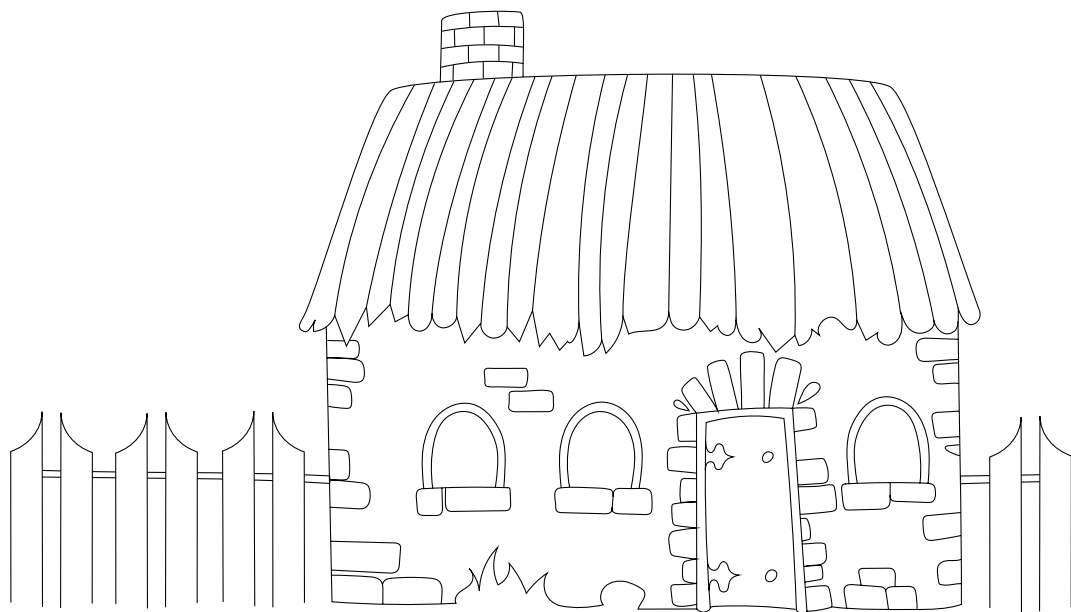
IV.

OJCIEC I MATKA CURDIEGO

OJCOWSKIE I MATCZYNE OCZY ŁATWO CZYTAJĄ w dziecięcych twarzach, więc kiedy Curdie wszedł do chaty, rodzice od razu spostrzegli, że przydarzyło mu się coś niezwykłego. Kiedy powiedział do matki: „Wybacz, proszę, że tak się spóźniłem”, w tonie jego głosu było coś więcej niż uprzejmość; coś, co ją ujęło, bo najwyraźniej zrodziło się tam, gdzie powstają wszystkie miłe rzeczy, zanim wyrosną na tym świecie. Kiedy przysunął ojcu krzesło – a dawno już nie oddawał mu tej przysługi – Piotr przyjął to z wdzięcznością, jakiej chłopiec nie doświadczył chyba nigdy przedtem. Nie zrobił przecież nic wielkiego, zwłaszcza dla kogoś, kto służył mu od chwili narodzin, ale podejrzewam, że nie ma nic, za co człowiek mógłby być bardziej wdzięczny niż to, do czego ma największe prawo.

W zachowaniu syna zaszła zmiana, dlatego ojciec i matka czuli, że coś się za nią kryje i byli przekonani, że Curdie ma im wiele do opowiedzenia. Bo kiedy w sercu jest *wszystko* w porządku, dziecko rzadko ukrywa coś przed rodzicami. Jednak wydarzenia tego wieczoru były dla Curdiego zbyt doniosłe, by mógł o nich opowiedzieć od razu. Musiał zaczekać, aż zjedzą owsiankę, a wszystkie przyziemne sprawy tego dnia zostaną zakończone.

Kiedy siedzieli na trawiastym brzegu strumienia, który tak delikatnie pluskał po kamieniach w skalistym łożysku – cała łąka bowiem położona była na szczycie wielkiej skały – chłopiec poczuł, że nadeszła właściwa chwila, by podzielić się z rodzicami



opowiadaniem o cudownych rzeczach, które mu się przytrafiły. Była to chyba najpiękniejsza godzina całego roku. Pogodne lato dopiero się zaczynało, zapadł najcieplejszy z dotychczasowych wieczorów – niebo było ciemne aż po horyzont, a nad ich głowami lśniły jasne, wielkie, wyraziste gwiazdy na tle najciemniejszego granatu. Noc ogarnęła ich i otoczyła cały świat pełnym miłości uściskiem, a chociaż nie mówiła ani nie uśmiechała się do nich, zdawała się cała wzrokiem i słuchem, jakby widziała, słyszała i rozumiała wszystko, co mówili i robili. Czasem noc bywa właśnie taka, i ma po temu swoje powody. Jedynym słyszalnym odgłosem był szmer strumyka, bowiem nie było wiatru ani drzew, na których wiatr, gdyby wiał, mógłby wygrywać swoją melodię. Ich chatka zbudowana była wysoko w górach, na wielkiej skalnej ostrodze, gdzie nie rosły żadne drzewa.

Tam właśnie, przy akompaniamencie wody spieszącej w dół, ku morzu, i gadającej z przejęciem o tysiącu prawdziwych, niezrozumiałych dla niej spraw, Curdie opowiedział ojcu i matce swoją

historię, tak jak wyglądała z zewnątrz i od środka. Między wyjściem z kopalni a drzwiami matczynej chatki rozciągał się teraz zupełnie nowy świat! Żadne z rodziców nie odezwało się, póki chłopiec nie skończył.

– Jak mam to wszystko rozumieć, mamo? To takie dziwne! – powiedział na koniec i umilkł.

– Nietrudno stwierdzić, jak Curdie powinien to wszystko rozumieć, prawda, Piotrze? – odezwała się dzielna niewiasta, odwracając głowę do męża, którego twarz ginęła w mroku.

– Tak mi się wydaje – odparł Piotr z uśmiechem, którego nie widział nikt oprócz nocy, ale który żona odgadła z jego głosu. Tych dwoje stanowiło najszczęśliwszą parę w całym królestwie, bo zawsze rozumieli się nawzajem, a to dlatego, że zawsze mieli to samo na myśli, a to z kolei dlatego, że kochali rzeczy piękne, prawdziwe i dobre nie więcej niż cokolwiek innego, ale więcej niż wszystko inne razem wzięte.

– A zatem powiesz Curdiemu? – spytała żona.

– Ty jesteś od mówienia, Joanno – odrzekł jej mąż. – Ty mu powiedz, a ja będę słuchał i uczył się, jak powiedzieć to, co myślę – dodał po chwili.

– *Ja* – powiedział Curdie – zupełnie nie wiem, co myśleć.

– To nie ma takiego znaczenia – odpowiedziała mu matka. – Jeśli tylko wiesz, jak coś rozumieć, szybko zorientujesz się, co o tym myśleć. Ale chyba nie muszę ci mówić, co powinienes z tym *zrobić*, prawda, Curdie?

– Chyba nie, mamo – odpowiedział chłopiec. – Chodzi ci o to, że powinienem zrobić, co poleciła mi starsza pani?

– Tak, właśnie; czy mogłoby mi chodzić o coś innego? Mam rację, Piotrze?

– W zupełności, Joanno – odparł Piotr – przynajmniej jak na mój rozum. To bardzo dziwna historia, ale wiara w nią nie podlega kwestii, bo Curdie wie przecież, co mu się przytrafiło.

– Pamiętasz chyba, Curdie – mówiła dalej matka – że kiedy królewna zabrała cię na wieżę dawno temu i rozmawiała tam ze swoją prapraprababką, wróciłeś do domu bardzo na nią rozgniewany i powiedziałeś, że nie ma tam nic poza starą balią, stertą słomy – tak, tak, dobrze pamiętam twoją wylizankę! – starą balią, stertą słomy, pomarszczonym jabłkiem i promieniem słońca. Jeśli wierzyć twoim oczom, nie było nic więcej na całym starym, zatęchłym poddaszu. Ale teraz udało ci się rzucić okiem na samą królową prababkę!

– Tak, mam, naprawdę ją widziałem – bo gdybym nie widział... – powiedział Curdie bardzo zamyślony. Urwał, a po chwili zaczął znowu – Najtrudniej było mi uwierzyć (choć widziałem to na własne oczy), co się stało, kiedy ta przejrzysta istota jakby unoszona promieniami księżycy niczym kawałek srebrnej folii albo chusteczka utkana z pajęczyny, wzięła mnie za rękę i wstała. Była wyższa i silniejsza od ciebie, mam, i to jak! W każdym razie tak wyglądała.

– Jeśli tak wyglądała, to na pewno taka była, Curdie – powiedziała pani Peterson.

– No cóż, muszę przyznać – ciągnął jej syn – że to jedno najbardziej każe mi się zastanawiać, czy przypadkiem nie śniłem, chociaż wydawało mi się, że oczy mam szeroko otwarte.

– Oczywiście – odparła matka – nie mnie sądzić, czy śniłeś, czy nie, skoro sam tego nie wiesz. Ale co do mnie, to nie wydaje mi się, że śnię, gdy latem trzymam bukiet groszków, cieszę się ich kolorem i zapachem, i przypominam sobie suche, jakby martwe

drobiny, które w tym samym miejscu wrzucałam wiosną do ziemi. Myślę sobie tylko, jakie to wszystko piękne i cudowne. A wydaje mi się nie tylko cudowne, ale i mądre. Jak to się dzieje, nie potrafię powiedzieć, ale widzę, że jest! A weź sobie do serca jeszcze i to, Curdie, chociaż nie przyszłoby ci to tak od razu do głowy, że kiedy wracasz do domu, do ojca i matki, i twoje zachowanie pierwszy raz od długiego czasu przypomina im zachowanie kochanego, dobrego dziecka, którym byłeś, to przynajmniej twoim rodzicom niełatwo byłoby uznać, że to, co przeżyłeś, było tylko snem.

– Ale przecież – zaproponował Curdie z lekkim zawstydzeniem – mogłem śnić o swoich obowiązkach.

– W takim razie śnij jak najczęściej, mój synu, bo musi być więcej prawdy w twoich snach niż w tym, co myślisz na jawie. Ale jakkolwiek by było, jedno jest pewne: z usłuchania nakazu starszej pani nie może wyniknąć nic złego. A dopóki nie będziesz zupełnie pewien, że ktoś taki nie istnieje, masz obowiązek zrobić to, co obiecałeś.

– Wydaje mi się, Curdie – odezwał się ojciec – że jeśli wielka pani przychodzi do ciebie we śnie i prosi cię, żebyś nie rozmawiał o niej, kiedy się obudzisz, to w każdym razie możesz zrobić przynajmniej tyle, że będziesz trzymał język za zębami.

– Prawda, ojczy! Tak, mam, tak zrobię – powiedział Curdie.

Potem poszli do łóżek, a sen, który jest nocą duszy, wziął ich z kolei w objęcia i przyniósł ukojenie.